

— Otóż opiekun będzie mnie pewno szukał, ścigał. Chciałabym ukryć się przed nim, aby uniknąć prześladowania. Był bym wdzięczną, gdyby mi pani takie schronienie wskazała.

— U siebie umieścić pa i nie mogę, bo nie mam miejsca, ale mam przyciążkę w sąsiedztwie, która pani odstąpi wygodny pokój. Tam możesz być zupełnie spokojną i bezpieczną, tam pani nikt szukać nie będzie.

## XV.

## NA WSI I W MIEŚCIE.

Dr. Austin siedział przy śniadaniu, popijał herbatę i myślał, kiedy też jego ulubieniec wróci. Przywiązał się do swego imiennika, lubił z nim gawędzić, brakowało mu więc teraz jego towarzysza.

Przyniesiono mu z poczty dwa listy. We łgu swego zwyczaju obejrzał kowitę dokładnie, zanim ją rozdarł. Na adresie poznał pismo swego przyjaciela, dra Burtona.

Myślał, że to zwłoka relacja o pupilce, więc bez pośpiechu rozdzierał kopertę.

Jakież było jego zdumienie i przerażenie, gdy przeczytał list następujący:

## Kochany Przyjacielu!

Oczekuję Cię niecierpliwie. Panna Lynn opuściła mój dom najtajemnicie niespodzianie. Zjawiała się tu u mnie jakiś młody człowiek, nazwiskiem Jan Jakób Austin i oświadczył, że się chce widzieć z panną Lynn z Twojego polecenia. Posłałem po nią, ale zamiast przyjść do poczekalni, nagle zniknęła. Ów młody człowiek powiedział mi wtedy, że jest agentem policji, a rzybył tu dlatego, że panna Lynn jest posądzona o popełnienie zbrodni, poczem wypadł jak szalony, zapewne w pogoni za zbiegłą. Sądzę, że jej nie znalazł. Przybywał!

Twój dr. Burton.

Dr. Austin nie mógł się długą chwilę opamiętać; list przyjaciela wydał mu się prawdziwie bajecznym.

Odknąwszy się wreszcie, jałby ze swego marzenia, wziął w rękę list drugi.

Poznał pismo swego imiennika, więc rozdarł kopertę niecierpliwie, spodziewając się tu jakiegoś wyjaśnienia:

## Czcigodny Panie!

Dom ślam się, że dr. Burton doniesie Panu o mojej wizycie w jego zakładzie, więc poczytuję sobie za obowiązek dodać małe wyjaśnienie. Musi być blisko Pana i dlatego utawałem imiennika. Uczyniłem to dlatego, że najzupełniej jestem u siebie dla Pańskiej pupilki. Proszę w imieniu dobra tej osoby, aby Pan zachował wszystko w tajemnicy, a wystrzegał się panna Bradmardine, który czyha na życie się oty. Nie wątpię, że mi Pan wybaczy mistyfikację, gdy się sprawa ostatecznie wyjaśni. Jestem agentem policyjnym, zawsze pełnym czci dla Pana.

Falszywy Austin.

Uspokoił się nieco tym drugim listem, ale natychmiast zabrał się do wyjazdu. Trzeba było sobie zamówić miejsce w omnibusie, który dowoził podróżnych do najbliższej stacji kolejowej. Nie czekając służby, biegł sam, gdy tuż koło domu spotyka człowieka, nosącego pudło na plecach.

— A dobrze, że was spotykam kochany panie Peterkin. Idziecie pewnie do domu, co?

— Tak, panie doktorze, do usług.

— No, to mi oszczędzisz drogę, dobrze?

— Co pan doktor rozkaże?

— Zechciej mi kochany panie Peterkin zamówić miejsce w omnibusie, do pierwszego pierwszego pociągu do Chicago.

— Z największą ochotą proszę pana doktora.

— Dziękuję, bardzo dziękuję.

Doktor wrócił do domu a Peterkin spiesząc się ku zdrowiu, którego właściciel był też właścicielem omnibusu.

Ciekawy to człowiek ów Peterkin. Zawił się tu przed miesiącem, jako domokrądcą. Wzięte było go pełno, wszędzie zawiązał znajomości, wszystkim się wysługiwał i usługiwał. Zyskał też sobie sympatię wielką i zaczął się sławać powiernikiem wszystkich.

Gdy wszedł do gospody, spostrzegł za stołem i sona Bradmardine, ale udał, że go nie widzi i głośno z progu zawołał:

Hej, panie Marks, kłety omnibus odchodzi?

— Za pół godziny — odpowiedział właściel gospody i omnibusu.

— Dr Austin prosi, aby zatrzymać dla niego miejsce.

Powiedziawszy to, wybiegł prędko do swego mieszkania i co ichu zbierać się zaczął do droży. Z młym toboikem wócił do gospody i dla siebie jeszcze zamówił miejsce. W omnibusie zdążył do stacji dr Austin, Peterkin, a także i Jason Bradmardine.

Nie bardzo było panie doktorowi w towarzystwie Jasona, mimo tego zagadnął go od niechcya:

— Czy pan już zupełnie opuszcza Fairlic?

— O nie — odpowiedział Jason ojętnie — Ot tak, na kilka dni, mała przejażdżka do miasta. A pan doktor na długo do Chicago?

— O nie ty! o dla konferencji lekarskiej, a prztem chcę słyszeć wykład sławnego uczonego dra Dardy. Możeby pan także chciał być na wykładzie?

— Prawdę powiedziawszy, to mnie to rzeczy mało obchodzi.

— Szkoda, żałuję bardzo. Towarzystwo pański bardzo by mnie cieszyło.

Pożyczy doktor nie był w tej chwili szczerym, bo towarzystwo Bradmardine było dlań wstydliwe, le chciał się jakoś wywieść, po co ten podejrzany człowiek jedzie z nim równocześnie do miasta.

Oczywiście, że podejrzewał go o to, iż zamierza coś niedobrego względem Leonory.

Nie kleiła się rozmowa, więc doktor zaczął czytać dzienniki, toż samo uczynił i Jason. Dojechali do Chicago; wychodzą z dworca Dr Austin i do fjakra i kazał jechać redko Jason wziął drugiego fjakra i kazał mu jechać za pierwszym. Do trzeciego siadł Peterkin i za tamtymi jechać kazał.

Trzeci fjakier przyświadczył z ochotą, że tamtych ani spuści z oka. Był to przebrany Jocellin, a wiózł z sobą agenta angielskiego, Franciszka Ferrasa, czyli domokrądcę w Fairlic: Peterkina.

Stuart zawiadomił Jocellyna o wszystkim, co się stało w zakładzie dra Burtona i zwrócił mu uwagę, że dr Austin pewnie przyjedzie do Chicago, a za nim podąży też niezgodnie Bradmardine, aby odkryć schronienie Leonory. I oto Jocellyn został improwizowany fjakierem, by czuwać na dworcu i albo narzucić się wycieczkiwanym podróżnym, albo też za nimi jechać.

Skoro Bradmardine zobaczył, że dr Austin zatrzymał się przed zakładem dra Burtona, kazał, że wrócić i zawieść się do swego mieszkania. Peterkin zdążył za nim niespostrzeżenie i w sąsiedztwie Jasona najął sobie pokój.

• • •

Tymczasem Stuart szukał Leonory, pewien, że się w Chicago ukryła i z gładził też do pani Artevelde, która mu wciąż przypominała, aby uwieził mordercę syna. Spotykał u często Kate Scaton, przyczem dowiedział się, że między nią i Jocellynem ściągają się węzły sympatii i przyjaźni. Pewnego razu wręczyła mu Kate wniejający list i rzekła:

— Panna Laura Durand prosiła mnie bardzo, abym panu oddała to pismo, skoro tylko pana zbacze. Oto jest. A jak pachnie!

— Czy się pani zaprzyjaźniła z panną Durand? — zapytał Stuart biorąc bilet z ustiechem.

— Właściwie nie, to jest nie wiem, jak się wyrazić, zdaje mi się, żebyśmy przyjaciółkami być nie mogły, bo nasze usposobienia... Znamy się, widzimy, bo Laura przychodzi często do pani Artevelde, która ją bardzo lubi.

Stuart tymczasem przeczytał list Laury, była tam prośba, aby ją odwiedził jaknajprędzej.

Ciekaw był niesłychanie, czego też ona chce od niego.

Zaraz rano poszedł.

Na schodach spotkał Durand; ten mu powiedział o chorobie żony i prosił, aby ją odwiedził, pomówił z nią wesoło, bo ona lubi ożywiać pogadanki. Bardzo chętnie to uczynił, zabawił długą chwilę u Durandowej. Znał ją dobrze, wiedział, że to osoba nerwowa i cho-

rowita, ale nie wyobrażał sobie, aby w ciągu kilku dni tak bardzo zmienić się mogła.

Wyglądała wycieńczona, bezsilna, jakby po przebyciu śmiertelnej choroby.

Stuart rozweselił ile było można cierpiącą panią Durand, a wychodząc rzekł do Duranda, który go na korytarz doprowadził:

— Mużę z panem pomówić o sprawie bardzo ważnej. W tej chwili nie mam czasu, zresztą musimy mówić swobodnie aby nas nikt nie słyszał. Wkrótce zjuszę się do pana.

Nie czekając odpowiadzi udał się do Laury. Przywitała go z kokieterijną uprzejmością. Wyglądała istotnie uroczo; jeszcze nigdy tak pięknie nie wywdła się Stuartowi.

Była mistrzynią w sztuce podbaniania się i okazywania swej piękności. Rozmowa zaczęła o rzeczach osobnych, a po em przeszła na temat tragedii Artevelde.

Właściwie powiedziała, że to dlatego pozwoliłam sobie trudzić pana, aby o biednym Franku pomówić. Pan wie, że łączyła nas istina przyjaźń. Żał mi go bardzo. Biedny. To następstwa ciągłego jego miłostek.

— Miłostek? powiada pani, a ja sądzę, że on miał jeden tylko przedmiot miłości. Powszędzie mniemano, że jedynie i wyłącznie pani był oddany. Podobno mu pani odmówiła wzajemności?

— A mój Boże! Co też sobie urojono. Frank kochał się w pewnej osobie, zbliżonej do mnie stosunkami domowymi, czy może zażyłością, jeśli nie przyjaźnią. Matka Franka nie chciała nawet słyszeć o tem, tak była przeciwną skłonnościom syna. Biedny Frank zwierzał się przedemną swych utrapieni, niekiedy szukał u mnie pośrednictwa, no i z tego powstało mylne przypuszczenie, że we mnie się kocha.

— Jeżeli tak, więc to pewnie panna Brown była przedmiotem miłości Franka?

— A jakże pan skory do przypuszczeń. — Wszak nie powiedział mi żadnego nazwiska, a i nie mam zamiaru odłanić tajemnicy.

— Więc zostawia mi pani swobodę w domysłach?

— Nie mogę jej zabronić.

— A więc panna Brown...

— O o, proszę mi nawet nie wspominać tego nazwiska — zawołała Laura jakby z oburzeniem.

— Co się stało? — spytał Stuart niby bardzo zdumiony.

— Oddaliłam ją, musiałam oddalić, chociaż była do mnie bardzo przywiązana.

— A cóż za powód? Wszakże była tak wierną towarzyszką pani.

— Zachowałam dla niej życzliwość, ale oddalić musiałam, bo... Nelly z do zbytku przeadała za... klejnotami, zanadto się stroiła. Ja przebolewałam strasę niektórych kosztowności, ale nie mogłam pozwolić, aby i kto inny na tem cierpiał, więc...

— A gdzie się teraz panna Brown znajduje?

— U swojej ciotki pani Rogers.

— Czy pani zna tę osobę?

— O, wcale nie.

Naszała mała przerwa w rozmowie, poczem Stuart niespodzianie zapytał:

— Czy pani ma pismo panny Brown?

— O, tak, tak — odpowiedziała Laura nieco zakopotana — mam zapewne gdzieś schowane jej listy.

— Może mi pani raczy dać bodaj mały skrawek rękopisu panny Brown?

— Owszem, chętnie, ale muszę dopiero poszukać, a w tej chwili nawet nie pamiętam, gdzie te listy schowałam.

— Nienawidzę pilnego, jeżeli pani pozwoli, zgłoszę się do niej za dni kilka.

— Przyjmę pana z całą przyjemnością.

Pożniósł się, by odjść, w tem wszedł służący z oznajmieniem, że przybyła panna Brown.

— Powiedz, że mnie w domu niema — rzekła Laura, ale zanim służący się oddalił, już panna Brown próg przestąpiła.

— Nie czekałam, co mi powie służący i wchodzę, jak za dawnych czasów — powiedziała z całą swobodą. — A! pan Stuart! bardzo się cieszę, że pana widzę. Czy może przeszkadza?

— Wcale nie, bo właśnie chciałem się z panną Laurą pożegnać.

Uklonił się uprzejmie i wyszedł. Już na schodach spostrzegł, że zgubił rękawiczkę, więc wraca i słyszy mimowoli taką rozmowę: